



ORWELL ROK 1984



ORWELL
ROK 1984

ORWELL ROK 1984

**Ilustracje:
Kamil Rekosz**

George Orwell

Rok 1984

Tytuł oryginału:

Nineteen Eighty-Four

Przełożył:

Krzysztof Mazurek

Ilustracje:

Kamil Rekosz

Redakcja:

Agnieszka Antosiewicz

Korekta:

Karolina Rymut, Maria Zagnińska

© Copyright by Wydawnictwo GREG® Sp. z o.o.

2021

ISBN 978-83-7517-976-7

Wydawnictwo GREG®

ul. Klasztorna 2B

31-979 Kraków

tel. (12) 680 15 50

www.greg.pl

Księgarnia internetowa: www.greg.pl

Znak firmowy GREG® zastrzeżony w Urzędzie Patentowym RP.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana
lub przedrukowana bez pisemnej zgody Wydawnictwa GREG®.

Okładka:

Kamil Rekosz

Skład i łamanie:

Pracownia Register

**CZĘŚĆ
PIERWSZA**

WIELKI BRAT



OBSERWUJE

Rozdział 1

Kwietniowy dzień był rześki i jasny. Zegary biły na pierwszą. Tuląc podbródek do piersi, żeby osłonić się przed paskudnym wiatrem, Winston Smith prześlizgnął się przez szklane drzwi wejściowe do budynku na Osiedlu Zwycięstwa, mimo woli wpuszczając za sobą podmuch zjadliwego pyłu.

W sieni unosił się wżarty w ściany, duszący zapach gotowanej kapusty i butwiejących słomianek. Na końcu korytarza przyklejono taśmą kolorowy plakat o ponad metrowej szerokości, zbyt duży na ścianę w mieszkaniu, przedstawiający ogromną twarz wąsatego mężczyzny w wieku około czterdziestu pięciu lat, o surowych, choć interesujących rysach. Winston ruszył w kierunku schodów. Nie było sensu próbować, czy winda działa. Nawet w dobrych czasach chodziła kapryśnie, a ostatnio, w ramach przyspieszenia tempa wzrostu gospodarki przed Tygodniem Nienawiści, w dzień wyłączali prąd. Mieszkanie było na siódmym piętrze, a Winston, który miał trzydzieści dziewięć lat i żylaki nad prawą kostką, szedł po schodach powoli, kilka razy po drodze przystając, żeby odpocząć. Na każdym piętrze na wprost drzwi do windy z plakatu na ścianie spoglądała na niego olbrzymia twarz. Zdjęcie było tak skomponowane, że przechodzącym obok wydawało się, iż mężczyzna nie spuszcza z nich wzroku. Napis pod zdjęciem głosił: OBSERWUJE CIĘ WIELKI BRAT¹.

W mieszkaniu słodki i kojący głos odczytywał liczby, które miały coś wspólnego z wytopem surowej stali. Głos dobiegał z podłużnej metalowej płytki, wyglądającej jak matowe lustro stanowiące część powierzchni prawej ściany. Winston poruszył pokręteł i głos nieco przycichł, chociaż wciąż dało się rozróżnić poszczególne słowa. Urządzenie (nazywało się teleekran) dawało się przyciszyć i przyciemnić, ale nie całkowicie wyłączyć. Podszedł do okna: niewysoki, szczupły – kruchość jego postaci podkreślał granatowy kombinezon, który był oficjalnym strojem członków Partii. Miał bardzo jasne włosy, naturalnie rumiane policzki, skórę szorstką od szarego mydła, tępych żyłek i siarczystych mrozów kończącej się zimy.

Nawet przez szczelnie zamknięte okno świat tchnął chłodem. Podmuchy wiatru podnosiły z jezdni maleńkie wiry pyłu i skrawków papieru. Chociaż świeciło słońce i niebo było przenikliwie błękitne, wydawało się, że wszystko oprócz porozwieszanych na ścianach plakatów jest wyprane z kolorów. Twarz mężczyzny z sumiastym wąsem wyłaniała się z każdej strony. Na fasadzie bloku naprzeciwko wisiał billboard. OBSERWUJE CIĘ WIELKI BRAT, głosił napis, a ciemne oczy spoglądały głęboko w oczy Winstona. Rozdarty na rogu plakat, wiszący przy wejściu do bloku od strony ulicy, trzepotał niespokojnie na wietrze, na przemian zakrywając i odsłaniając jedno słowo – SOCANG. Gdzieś w oddali między dachami unosił się helikopter. Zawisł na chwilę

¹ W oryginale: BIG BROTHER IS WATCHING YOU.

w powietrzu jak mucha o błyszczącym metalicznym odwłoku, by nagle się poderwać i odlecieć, zataczając łuk. Był to patrol Milicji zaglądnący w okna osiedla. Tym się można było nie przejmować. To było normalne zadanie patroli, ale Milicja Myśli to całkiem inna para kaloszy.

Za plecami Winstona głos z ekranu wciąż paplał o piecach martenowskich² i przekraczaniu założeń Dziewiątego Planu Trzyletniego. Teleekran jednocześnie odbierał i nadawał. Każdy dźwięk, jaki wyda Winston, chyba że będzie mówił szeptem, urządzenie wychwyci, a jeśli on sam znajdzie się w polu widzenia teleekranu, będzie go nie tylko słyszał, ale i widać. Oczywiście nie wiadomo, czy kogoś w danym momencie obserwują. Jak często Milicja Myśli włącza podgląd lub jakiego używa systemu, można było tylko zgadywać. Niewykluczone, że wszyscy są cały czas pod obserwacją. W każdym razie wiadomo, że Milicja może się przełączać na podgląd, kiedy tylko zechce. Człowiek musi żyć i faktycznie żyje przyzwyczajony do tego, że każdy wydany dźwięk ktoś słyszy i każdemu ruchowi ktoś się przygląda, chyba że jest ciemno.

Winston odwrócił się plecami do teleekranu. Tak było bezpieczniej, chociaż dobrze wiedział, że nawet z pleców mogą dużo wyczytać. W odległości kilometra górowało rozległe, jaśniejsze białe nad brudnym krajobrazem Ministerstwo Prawdy, jego miejsce pracy. To – pomyślał z pewnym niesmakiem – był Londyn, główne miasto Pasa Startowego 1, trzeciej pod względem liczby ludności prowincji Oceanii. Próbował wydobyć z pamięci wspomnienia z dzieciństwa i pytał sam siebie, czy Londyn zawsze tak wyglądał. Czy zawsze były tu zżerane wilgocią i grzybem wiktoriańskie czynszówki o krzywych, podpartych stemplami ścianach, z oknami łątanymi tekturą, z dachami z blachy falistej i ogródkami wielkości znaczka pocztowego, na które waliły się pochyłe ceglane ściany? Zbombardowane fragmenty miasta, gdzie w powietrzu wirował gipsowy pył, a wilcze zioło czaiło się, pełzało po stertach cegieł i tynku? Połacie oczyszczone przez bombardowania, na których wyrosły kolonie liszajowatych drewnianych domków przypominających nędzne kurniki? Ale to nie miało sensu, nic nie pamiętał. Z dzieciństwa pozostał tylko szereg jaskrawych obrazów, pojawiających się bez tła i pozbawionych sensu.

Budynek Ministerstwa Prawdy – w nowomowie³ MiniVer – był zadziwiająco odmienny od wszelkich innych obiektów w zasięgu wzroku. Stanowił olbrzymią piramidalną konstrukcję z połyskującego białego betonu, wznoszącą się śmiało tarasami w górę na wysokość trzystu metrów. Z miejsca, w którym stał Winston, ledwo co, ale dawało się odczytać wyrzeźbione eleganckim liternictwem na białej fasadzie trzy hasła Partii:

WOJNA TO POKÓJ
WOLNOŚĆ TO NIEWOLA
NIEWIEDZA TO SIŁA

² *Piec martenowski* – rodzaj pieca hutniczego.

³ Nowomowa była oficjalnym językiem Oceanii. Opis budowy i etymologii nowomowy znajduje się w aneksie: *Zasady nowomowy* – str. 217.

Mówiło się, że w Ministerstwie Prawdy jest trzy tysiące sal i pomieszczeń ponad poziomem ulicy i bez liku pod ziemią. W Londynie były tylko trzy inne budynki porównywalnej wielkości i o podobnym wyglądzie. Do tego stopnia przyćmiewały inne budowle, że z dachu bloku na Osiedlu Zwycięstwa można było zobaczyć wszystkie cztery jednocześnie. Były to siedziby czterech ministerstw, dzielące między sobą cały aparat rządowy. Ministerstwo Prawdy, zajmujące się mediami, rozrywką, szkolnictwem, kulturą i sztuką. Ministerstwo Pokoju, zajmujące się kwestiami wojny. Ministerstwo Miłości, nadzorujące przestrzeganie prawa i porządku; wreszcie Ministerstwo Obfitości, odpowiedzialne za sprawy gospodarcze. W nowomowie nazywały się MiniVer, MiniPax, MiniAmor i MiniPlenum⁴.

Naprawdę złowieszcze było Ministerstwo Miłości. W budynku nie było ani jednego okna. Winston nigdy nie był ani w Ministerstwie Miłości, ani nawet w promieniu pół kilometra od tego ponurego gmachu. Kto nie miał do załatwienia spraw służbowych, nie mógł tam wejść, a wchodziło się przez labirynt zasieków z drutu kolczastego, stalowych drzwi i ukrytych gniazd karabinów maszynowych. Nawet ulice prowadzące do punktów kontrolnych na zewnątrz gmachu patrolowali strażnicy w czarnych mundurach, o małych mordach, uzbrojeni w teleskopowe pałki.

Winston nagle się odwrócił. Przybrał wyraz twarzy tchnący cichym optymizmem, zalecanym w zasięgu widzenia ekranu. Przeszedł przez pokój do małej kuchni. Wychodząc tak wcześnie z Ministerstwa, poświęcił obiad w stołówce, wiedząc doskonale, że w kuchni nie ma nic do jedzenia oprócz kawałka razowego chleba, który trzeba było zostawić na jutrzejsze śniadanie. Zdjął z półki butelkę bezbarwnego płynu ze zwykłą białą kartką z napisem „Gin Zwycięstwa”. Napój wydzielał mdlący, oleisty zapach taniej chińskiej wódki pędzonej z ryżu. Winston nalał sobie prawie pełną filiżankę i przełknął ze wstrętem, jakby pił lekarstwo.

Twarz natychmiast mu poczerwieniała, do oczu napłynęły łzy. Trunek był jak kwas azotowy, a kiedy człowiek wlewał go do gardła, miał wrażenie uderzenia w tył głowy gumową pałą. Po chwili jednak pieczenie w żołądku ustało, a świat zaczął wyglądać radośniej. Wygrzebał papierosa ze zmiętej paczki z napisem „Papierosy Zwycięstwa”. Zamiast uważać, chwycił go w palce pionowo i cały tytoń wysypał się na podłogę. Z następnym było lepiej. Wrócił do saloniku i usiadł przy stoliku stojącym po lewej stronie ekranu. Z szuflady wyjął etui na pióro, buteleczkę atramentu i gruby, niezapisany, prostokątny notatnik z czerwonym grzbietem i marmurkową okładką.

Nie wiadomo, dlaczego ekran w saloniku znajdował się w tak nietypowym miejscu. Zamiast, jak normalnie, na przeciwległej ścianie, skąd był widok na cały pokój, ekran znajdował się na ścianie na wprost okna. Z jednej strony była płytka wnęka, gdzie teraz siedział Winston, która w zamysle architekta miała prawdopodobnie pomieścić regały z książkami. Siedząc we wnęcie i trzymając się z tyłu, Winstonowi udawało się pozostawać poza zasięgiem teleekranu – przynajmniej nie było go widać. Oczywiście było

⁴ Ver – skrót od łac. *veritas* – prawda; pax – łac. pokój; amor – łac. miłość; plenum – łac. pełny (przyp. tłum.).

słysząc, że jest w środku, ale dopóki tkwił w obecnej pozycji, pozostawał poza zasięgiem wzroku. To właśnie w pewnym sensie niezwykła topografia pokoju podsunęła mu myśl, co teraz zrobić.

Nie tylko, bo zainspirował go również notatnik w twardej okładce, który właśnie wyjął z szuflady. To był wyjątkowo piękny egzemplarz. Gładki, kremowy papier, nieco poźółkły ze starości – takich rzeczy nie produkowano od co najmniej czterdziestu lat. Domyślał się jednak, że notatnik jest znacznie starszy. Zauważył go w oknie wystawowym zapyziałego sklepiku z rupieciami w dzielnicy biedoty (w której – tego już nie pamiętał) i natychmiast ogarnęło go przemożne pragnienie jego posiadania. Członkowie Partii nie powinni robić zakupów w zwykłych sklepach (nazywano to – „dokonywaniem transakcji na wolnym rynku”), ale ta zasada nie była ściśle przestrzegana, bo istniały towary, takie jak sznurowadła i zyletki, których nie sposób było zdobyć gdzie indziej. Rzucił okiem na ulicę, a potem wślizgnął się do środka i kupił notatnik za dwa i pół dolara. Tamtego dnia nie zdawał sobie sprawy, że potrzebuje go w konkretnym celu. Niósł go do domu w teczce z silnym poczuciem winy. Notes – nawet niezapisany – stanowił przedmiot, który mógł go zdyskredytować.

Miał bowiem zamiar prowadzić dziennik zdarzeń, co samo w sobie nie było zabronione (trudno powiedzieć, co było zabronione, bo od dawna nie obowiązywały przepisy prawa), ale jeśli go przyłapią, dostanie najpewniej karę śmierci lub w najlepszym wypadku dwadzieścia pięć lat łagru. Winston włożył stalówkę do obsadki, po czym zbliżył ją do ust, żeby zlizać z metalu warstewkę smaru. Pióro było archaicznym narzędziem, rzadko używanym nawet do składania podpisów. Kupił je ukradkiem i nie bez trudu, z poczucia, że piękny kremowy papier zasługuje na pisanie prawdziwą stalówką zamiast drapania po jego powierzchni rystorem⁵. Właściwie nie był przyzwyczajony do pisania odręcznie. Poza bardzo krótkimi notatkami zwykle dyktowało się wszystko do grafioleksu, co oczywiście teraz było niemożliwe. Zanurzył stalówkę w atramencie i zawahał się. Skreślenie pierwszego słowa to decydujący krok. Drobnymi, niezgrabnymi literami napisał:

4 kwietnia 1984 r.

Osunął się na oparcie fotela. Opanowało go poczucie całkowitej bezradności. Po pierwsze, nie był całkiem pewien, że rzeczywiście jest rok 1984. Pewnie tak, bo nie kwestionował faktu, że urodził się w roku 1944 lub 1945 i miał trzydzieści dziewięć lat, ale w obecnych czasach trudno było określić datę z dokładnością większą, niż rok lub dwa lata.

Nagle przyszło mu do głowy pytanie, dla kogo miałby pisać ten pamiętnik? Dla przyszłości, dla jeszcze nienarodzonych? Zastanawiał się przez chwilę nad niepewną datą zapisaną na kartce notatnika, a potem utknął, jak na mieliźnie, na nowomownym słowie – „dwójmyślenie”. Dopiero teraz zaczął pojmować ogrom zadania, którego się

⁵ Rystor – rodzaj pióra, pisaka kreślarskiego.

podjął. Jak w ogóle można się komunikować z przyszłością? Z natury rzeczy to niemożliwe. Albo przyszłość będzie podobna do teraźniejszości i w tym przypadku nikt go nie usłyszy, albo będzie całkiem inna, a wtedy jego obecne dylematy okażą się bez znaczenia.

Przez chwilę siedział, wpatrując się tępo w pustą kartkę. Muzyka z teleekranu zmieniła nagle rytm na marszowy. Dziwne, że nie tylko jakby stracił władzę nad tym, by coś z siebie wydobyć, ale wręcz zapomniał, co w ogóle zamierzał powiedzieć. Przez ostatnie tygodnie przygotowywał się właśnie do tej chwili i przez myśl mu nie przeszło, że będzie potrzebował przede wszystkim odwagi. Samo pisanie miało być przecież łatwe. Musiał tylko przenieść na papier niekończący się, niespokojny monolog, który od lat kołatał się po jego głowie. Jednak w tej chwili nawet monolog wyparował. Na domiar złego zaczęły go nieźnośnie swędzieć zylaki. Nie odważył się podrapać, bo zawsze, kiedy go podkusiło, było jeszcze gorzej. Mijały sekundy. Świadomość Winstona wypełniała pusta kartka, swędzenie skóry nad kostką, jazgot wojskowej muzyki i lekki szum w głowie po wypiciu ginu.

Zaczął pisać nagle, w porywie czystej paniki, tylko częściowo kontrolując to, co wyłania się na kartce przed jego oczami. Stawiał małe dziecinne literki, układające się w chaotyczne zdania. Gubił najpierw duże litery, a w końcu nawet kropki.

4 kwietnia 1984 r.

Wczoraj wieczorem kino. Wszystkie filmy wojenne. Jeden bardzo dobry o statku pełnym uchodźców, ostrzelanym gdzieś na Morzu Śródziemnym. Widzowie bardzo rozbawieni widokiem tłuszciocha próbującego uciec w pław przed helikopterem. Najpierw pokazali, jak płynie podobny do morświna, potem kamera ujęła go przez celowniki śmigłowca, po chwili był pełen dziur, a morze wokół niego zmieniło kolor na różowy. Utonął nagle, jakby dziury od kul przepuszczały wodę, a kiedy szedł na dno, widownia wyła ze śmiechu. Potem pokazali szalupę ratunkową pełną dzieci, a nad nią śmigłowiec. wśród nich była kobieta w średnim wieku, wyglądała na żydówkę siedziała na dziobie trzymając w ramionach małego chłopca, może trzyletniego. mały krzyczy ze strachu i chowa głowę w jej piersiach, jakby próbował się w nią wcisnąć, a kobieta obejmuje go ramionami i pociesza, chociaż sama jest sina ze strachu. Cały czas obejmowała go z całych sił, jakby wierzyła w to, że jej ramiona mogą powstrzymać kule następnie helikopter zrzucił na nich dwudziestokilogramową bombę był niesamowity rozbłysk i szalupa zapłonęła, jak pudełko od zapatek. potem było fantastyczne ujęcie ramienia dziecka wznoszącego się wysoko w powietrze, pokazywali to ze śmigłowca z kamerą na dziobie i rozległa się burza oklasków z miejsc dla partyjnych, ale jakaś kobieta z tyłu, w części sali dla proli, nagle zaczęła się awanturować i krzyczeć, że nie wolno takich rzeczy pokazywać bo tu som dzieci, żeby się klupli w tyn gupi łeb, dopóki nie wyrzuciła jej milicja Nie sądzę, żeby coś jej się stało Nikogo nie obchodzi, co wygadują prole. Typowa prolska reakcja tacy nigdy...

Winston przestał pisać, po trosze dlatego, że chwycił go skurcz. Nie miał pojęcia, czemu wylał na papier ten kubek pomyj. Ciekawe było jednak to, że ta bazgranina wywołała zupełnie inne wspomnienie, do tego stopnia klarowne, że poczuł się niemal tak, jakby je zapisywał. Uświadamiał sobie teraz, że właśnie z powodu tamtego zdarzenia nieoczekiwanie postanowił wrócić do domu i właśnie dzisiaj po raz pierwszy otworzyć pamiętnik.

Miało ono miejsce rano w Ministerstwie, jeśli można powiedzieć, że coś tak nieuchwytnego w ogóle miało miejsce.

Była prawie punkt jedenasta. W Wydziale Archiwów, w którym pracował Winston, wyciągali krzesła zza ścianek działowych i ustawiali je w centralnej części sali na wprost dużego ekranu telewizyjnego, przygotowując sesję Dwa Minut Nienawiści. Winston właśnie zajmował miejsce w jednym ze środkowych rzędów, gdy na sali nieoczekiwanie pojawiły się dwie osoby, które znał z widzenia, ale nigdy z żadną nie zamienił ani słowa. Jedną z nich była dziewczyna, którą często mijał na korytarzu. Nie miał pojęcia, jak się nazywa, ale wiedział, że pracuje w Wydziale Fikcji Literackiej. Przypuszczał, że była technikiem konserwującym którąś z maszyn do pisania powieści, bo widywał ją z kluczem francuskim w umazanych smarem dłoniach. Miała hardy wyraz twarzy, około dwudziestu siedmiu lat, gęste włosy, piegowatą twarz, była wysportowana i energiczna. Talię owinęła kilka razy wąską szkarłatną szarfą – emblematem Młodzieżówki Antyseksualnej – wystarczająco ciasno, by wydobyć kształt bioder pod kombinezonem. Winstonowi od początku się nie podobała. Wiedział dlaczego. Wokół dziewczyny roztaczała się aura boisk do hokeja, kąpeli w przerębli i rajdów młodzieżowych – bił od niej blask prawomyślności. W ogóle nieszczerólnie lubił kobiety, a zwłaszcza młode i ładne. Przeważnie kobiety, przede wszystkim młode, były najzagorzalszymi zwolenniczkami Partii, wierzącymi w hasła i slogany, gorliwie informowały o odstępstwach od linii Partii i wskazywały palcem niepokornych. Winston miał wrażenie, że właśnie ta dziewczyna jest jeszcze bardziej niebezpieczna. Pewnego razu, gdy mijali się w korytarzu, rzuciła mu szybkie spojrzenie z ukosa, przebijające go na wyłot i napełniające go bezbrzeżnym przerażeniem. Przyszło mu nawet do głowy, że może jest tajnym współpracownikiem Milicji Myśli. To w zasadzie było bardzo mało prawdopodobne. Nadal jednak odczuwał dziwny niepokój – lęk pomieszany z wrogością – ilekroć była w pobliżu.

Drugą osobą był O'Brien, członek Egzekutywy⁶ Partii, piastujący stanowisko tak wysokie i ważne, że Winston miał bardzo mgliste pojęcie, kim jest. Grupka ludzi stojących przy rzędach krzeseł nagle zamilkła na widok zbliżającego się mężczyzny w czarnym kombinezonie Egzekutywy. O'Brien był postawnym, krępkim mężczyzną o grubym karku i pooranej bruzdami twarzy człowieka cechującego się bezzwzględnością, czasem jednak skłonnego do uśmiechu. Mimo budzącego grozę wyglądu nie był pozbawiony uroku. Potrafił rozbijając poprawiać okulary na nosie, w nieokreślony, dziwnie cywilizowany sposób. Gdyby ktoś jeszcze myślał w takich kategoriach,

⁶ *Egzekutywa* – organ wykonawczy podległy organowi przedstawicielskiemu.

O'Brien przypominałby osiemnastowiecznego szlachcica częstującego sąsiada tabaką. Winston widział go może z dziesięć razy w ciągu tyluż lat. Czuł bliskość z tym człowiekiem i to nie tylko dlatego, że intrygował go kontrast między wielkopańskimi manierami O'Briena a jego posturą zawodowego boksera. Znacznie bardziej z powodu skrywanego przekonania – a może nawet nie przekonania, a nadziei – że pryncypialność⁷ polityczna O'Briena nie jest doskonała. Coś w jego twarzy sugerowało to nieodparcie.

Kiedy się nad tym zastanawiał, dochodził do wniosku, że rzecz nie w braku pryncypialności. Na jego twarzy odczytywał inteligencję. Tak czy owak wyglądał na osobę, z którą można porozmawiać, jeśli dałoby się w jakiś sposób wykiwać ekran i pogadać z nim sam na sam. Winston nigdy nie zrobił najmniejszego gestu, by zweryfikować te przypuszczenia, zresztą nie było jak. O'Brien spojrział na zegarek i widząc, że dochodzi jedenasta, najwyraźniej postanowił zostać w Wydziale Archiwów do końca Dwóch Minut Nienawiści. Usiadł w tym samym rzędzie co Winston, o kilka miejsc dalej. Między nimi siedziała drobna blondynka z wydziału Winstona, sąsiadka zza ścianki. Ciemnowłosa dziewczyna siedziała tuż za jego plecami.

Po chwili z dużego teleekranu na końcu sali zaczął się wylewać jazgot ohydnej przemowy, jak gdyby włączono jakąś monstrualną maszynę, którą ktoś zapomniał naoliwić. Dźwięk, który kazał zaciskać zęby i wywoływał gęsią skórkę. Zaczęła się Nienawiść.

Jak zwykle na ekranie pojawiła się twarz Emmanuela Goldsteina, wroga ludu. Tu i ówdzie wśród widowni rozległy się niechętnie pomruki. Drobna blondynka popiskiwiała, a w jej głosie pobrzmiwał strach zmieszany z odrazą. Goldstein był renegatem i odstępcą, który kiedyś, dawno temu (jak dawno, już nikt nie pamięta), był jedną z wiodących postaci Partii, prawie równą samemu Wielkiemu Bratu, po czym zaangażował się w działalność kontrrewolucyjną, został skazany na karę śmierci, uciekł i zniknął w tajemniczych okolicznościach. Program Dwóch Minut Nienawiści zmienił się codziennie, ale jego głównym bohaterem zawsze pozostawał Goldstein. Był zdrajcą nad zdrajcami – jako pierwszy skalał czystość ideologiczną Partii. Wszystkie kolejne zbrodnie przeciwko Partii, wszelkie zdrady, akty sabotażu, herezje, dewiacje wynikały bezpośrednio z jego doktryny. Zaszły się gdzieś, knuł i spiskował – za morzem, pod ochroną swoich zagranicznych mocodawców, a może nawet – bo takie plotki też krążyły – w jakiejś kryjówce w samej Oceanii.

Winston poczuł ucisk przepony. Ilekroć widział twarz Goldsteina, targały nim sprzeczne emocje. Była to szczupła twarz o żydowskich rysach, okolona zwiewną aureolą białych loczków, ozdobiona kozią bródką – twarz człowieka chytrego, przywodzącego na myśl kogoś godnego pogardy, naznaczona starym otępieniem podkreślonym długą linią grzbietu cienkiego nosa, na którego końcu spoczywały okulary. Przypominała pysk owcy – jego głos również przypominał beczenie owcy. Goldstein, jak zwykle, przeprowadzał zaciekle i pełen jadu atak na doktrynę Partii – atak tak

⁷ *Pryncypialność* – bezkompromisowość (przyp. tłum.).

przerysowany i przewrotny, że nawet dziecko powinno się na nim poznać, a jednocześnie na tyle wiarygodny, aby wzbudzić w człowieku niepokój, że inni, obdarzeni mniejszą przenikliwością ludzie dadzą się na tę grę nabrać. Ubliżał Wielkiemu Bratu, piętnował dyktaturę Partii, domagał się natychmiastowego zawarcia pokoju z Eurazją, opowiadał się za wolnością słowa, wolnością prasy, wolnością zgromadzeń, wolnością myśli, histeryzował i krzyczał, że Rewolucja została zdradzona – mówił szybko, atakował słuchaczy długimi, skomplikowanymi słowami, jakby parodiował przemówienia członków Partii, sięgał nawet po słowa nowomowy i używał ich częściej, niż na co dzień którykolwiek członek Partii. I aby nikt nie miał wątpliwości co do rzeczywistości, którą opisywały pozornie słuszne wywody Goldsteina, za jego głową na ekranie telewizyjnym marszowym krokiem nieustannie przesuwali się niekończące się kolumny armii Eurazji – szereg za szeregiem żołnierzy o krępych sylwetkach i pozbawionych wyrazu mongolskich twarzach, którzy dopływali do powierzchni ekranu i znikali, a w ich miejsce pokazywały się następne, dokładnie takie same kolumny. Głuche, rytmiczne uderzenia buciorów o bruk były tłem dla pobekiwania Goldsteina.

Nie upłynęło jeszcze trzydzieści sekund z Dwóch Minut Nienawiści, a w sali już rozlegały się niekontrolowane okrzyki wściekłości. Zadowolona z siebie owcza twarz na ekranie, a w tle przerażająca moc armii eurazjatyckiej – nie sposób było to znieść na spokojnie. Sam jego widok, a nawet myśl o Goldsteinie automatycznie wywoływała u ludzi strach i gniew. Stanowił nieodmiennie przedmiot nienawiści, nie do porównania z Eurazją czy Orientazją, ponieważ kiedy Oceania toczyła wojnę z jednym imperium, była zazwyczaj w pokojowych relacjach z drugim. Dziwne jednak było to, że chociaż Goldstein był postacią znienawidzoną i pogardzaną przez wszystkich, chociaż każdego dnia i po tysiącokroć, z mównic, z teleekranów, w gazetach, w książkach jego teorie były obalane, demaskowane i wystawiane na pośmiewisko, bo nic innego im się nie należało – mimo to jego wpływ nie malał. Nie brakowało takich, którzy dawali się otumanić. Nie było dnia, żeby Milicja Myśli nie rozpracowała szpiegów i sabotażystów działających z jego polecenia. Był dowódcą potężnej, kryjącej się w cieniach podziemnej armii, sieci spiskowców uporczywie dążących do destabilizacji państwa. Nazywali się ponoć Bractwem. Słyszało się szeptane na ucho historie o straszliwej książce, zbiorze wszelkich herezji, której Goldstein był autorem i która krążyła w podziemnym obiegu. Książka bez tytułu. Jeśli w ogóle o niej mówiono, nazywano ją po prostu Książką. Jedynym źródłem wiedzy o niej były zasłyszane plotki. Bractwo i Książka to nie temat, który poruszałby zwykły członek Partii, jeśli się dało, tego wątku w rozmowach w ogóle unikano.

W Drugiej Minucie Nienawiści na sali wybuchło szaleństwo. Ludzie zrywali się z miejsc i wrzeszczeli na całe gardło, próbując zagłuszyć dobiegający z ekranu pluający bezceństwami, beczący głos. Twarz drobnej blondynki z działu Winstona zaróżowiła się, kobieta otwierała i zamykała usta jak wyrzucona na brzeg ryba. Nawet obwisłe policzki O'Briena nabrzmiały rumieńcem. Siedział na krześle wyprostowany, a jego potężna klatka piersiowa unosiła się, opadała i drżała jakby przygotowując się na odparcie wzbierającej fali. Ciemnowłosa dziewczyna siedząca za Winstonem zaczęła

SOCANG



wykrzykiwać: „Świnia! Wieprz! Świnia!”. Nagle sięgnęła po ciężki słownik nowomowy, zamachnęła się i cisnęła tomiszczem w ekran. Trafiła Goldsteina w nos, słownik odbił się od płaskiej powierzchni, a niczym niezrażony mówca bluźnił dalej. W chwili opamiętania Winston zdał sobie sprawę, że tak, jak inni krzyczy, wrzeszczy i wściekle uderza piętami o własne krzesło. Najgorsze w Dwóch Minutach Nienawiści było to, że nikogo nie zmuszano do udawania furii, ale zbiorowe szaleństwo wciągało niczym wir. Po pół minucie wszelkie udawanie i tak nie miało racji bytu. Bezwstydna ekstaza strachu i mściwości, chęć zabijania, zadawania cierpienia, miażdżenia twarzy ciężkim młotem ogarniała obecnych, przepływając przez nich jak prąd elektryczny. Nienawiść wykrzywiała rysy i zamieniała ludzi w obłąkańców. Nieopanowana furia była abstrakcyjna i nieukierunkowana, można było ją dowolnie przełączać z jednego punktu na drugi jak płomień lampy lutowniczej. Przychodził taki moment, kiedy nienawiść Winstona nie była w ogóle skierowana przeciwko Goldsteinowi, ale na odwrót, przeciwko Wielkiemu Bratu, Partii i Milicji Myśli – w takich chwilach jego serce otwierało się na opuszczonego przez wszystkich, wyśmiewanego odszczepieńca na ekranie, jedyne strażnika prawdy i rozsądku w świecie kłamstw. W następnej chwili jednak już czuł jedność z otaczającymi go ludźmi i wszystko, co mówiono o Goldsteinie, wydawało mu się prawdą. W takich chwilach jego skrywana nienawiść do Wielkiego Brata zmieniała się w uwielbienie, a sam Wielki Brat zdawał się potężnieć – niezwyciężony, nieustraszony obrońca, stojący twardo jak skała, powstrzymujący hordy Eurazji. Goldstein zaś, pomimo osamotnienia, bezradności i wątpliwości obecnych, czy w ogóle istnieje, jawił się jako postać złowrogiego zaklinacza potrafiącego wyłącznie siłą głosu rozbijać fundamenty cywilizacji.

Były chwile, w których dało się ukierunkować nienawiść aktem woli. Nagle, zdobywszy się na gwałtowny wysiłek, który pozwalała pośrodku dręczącego koszmaru oderwać głowę od poduszki, Winstonowi udało się przenieść nienawiść z twarzy na ekranie na siedzącą za nim ciemnowłosą dziewczynę. Jego wyobrażenia wybuchła żywymi, pięknymi halucynacjami. Mógłby ją zatłuc na śmierć gumową pałką. Przywiązać, jak oprawcy świętego Sebastiana, naga do pala i wypuścić w jej kierunku grad strzał. Rzucić się na nią i zgwałcić, a w szczytowym momencie poderznąć jej gardło. Znacznie jaśniej niż przedtem zdawał sobie sprawę, dla czego jej nienawidzi. Nienawidził jej, bo była młoda, ładna i pozbawiona seksapilu, ponieważ chciałby iść z nią do łóżka, ale nigdy do tego nie dojdzie, ponieważ jej słodka, rozkołysana talia, która aż się prosiła, by ją objąć, była opasana odpychającą szkarłatną szarfą, natarczywym symbolem czystości.

Nienawiść osiągnęła apogeum. Głos Goldsteina był teraz prawdziwym beczaniem i zamiast jego twarzy pojawił się na chwilę barani łeb. Potem pysk barana stopił się z postacią eurazjatyckiego żołnierza, który zbliżał się i rósł, ogromny i przerażający. Zdawało się, że karabin maszynowy w jego rękach wyłania się z ekranu i głośnie seria tnie tłum. Niektórzy siedzący w pierwszym rzędzie cofnęli się w przerażeniu. Ale w tym samym momencie wszyscy westchnęli z ulgą, bo postać wroga wtopiła się w twarz ciemnowłosego Wielkiego Brata, wąsatego, emanującą mocą i tajemniczym

spokojem, twarz tak ogromną, że wypełniła niemal cały ekran. Nikt nie usłyszał, co mówi Wielki Brat. Wypowiedział zaledwie kilka słów pokrzepienia, takich, które wypowiada się w zgiełku bitwy, nie do odróżnienia, ale dodających otuchy i przywracających pewność zwycięstwa, bo wzniosły się nad głowami walczących. Po chwili oblicze Wielkiego Brata zaczęło się rozplýwać i cały ekran wypełniły trzy hasła Partii:

WOJNA TO POKÓJ
WOLNOŚĆ TO NIEWOLA
NIEWIEDZA TO SIŁA

Obecnym wydawało się, że twarz Wielkiego Brata utrzymuje się na ekranie jeszcze przez kilka sekund – wdarła się tak mocno w ich umysły, że trudno było natychmiast pozbyć się jej obrazu. Drobną blondynką rzuciła się na oparcie stojącego przed nią krzesła. Rozedrgana mamrotała coś na kształt: „Mój zbawiciel!” i wyciągała ręce w kierunku ekranu. Potem ukryła twarz w dłoniach. Widać było, że odmawia modlitwę.

W tym momencie zaczęło się skandowanie. Salę wypełnił głęboki, powolny, rytmiczny zaśpiew: „WB! – WB!” powtarzany raz po raz z długą przerwą między pierwszym dźwiękiem – „W” a drugim – „B”. Był to nabrzmiały mocą pomruk, dziki rytm jakby wybijany bosymi piętami po ziemi lub dłońmi w afrykańskie bębny. Nie ustawał przez mniej więcej pół minuty, był jak refren powtarzany w chwilach nieopanowanych emocji, częściowo jak pean na cześć mądrości i majestatu Wielkiego Brata, ale tak naprawdę akt autohipnozy, celowe tłumienie świadomości rytmicznymi dźwiękami. Winston czuł, że przewraca mu się w brzuchu. Podczas Dwóch Minut Nienawiści nie potrafił uciec od zbiorowego delirium, ale nieludzki zaśpiew: „WB! – WB!” zawsze budził w nim przerażenie. Oczywiście krzyczał wraz z innymi; trudno było postąpić inaczej. Ukryć prawdziwe uczucia, zapanować nad mimiką twarzy, robić to, co robili wszyscy – to były reakcje odruchowe. W całym tym zgiełku była jednak krótka chwila, kilka sekund, podczas których mógł go łatwo zdradzić wyraz oczu. Wtedy właśnie wydarzyła się znacząca rzecz, jeśli naprawdę się wydarzyła, a nie był to tylko podszept jego wyobraźni.

Na chwilę skrzyżowały się spojrzenia jego i O'Briena, który właśnie wstał. Zdejmował i zakładał okulary, poprawiając je na nosie charakterystycznym gestem. Ale przez ułamek sekundy, gdy Winston chwycił jego wzrok, wiedział, naprawdę w i e d z i a ł, że O'Brien myśli tak samo, jak on. Przez eter przepłynęła wiadomość, jakby oba umysły otworzyły się na siebie, a oczy potrafiły przekazywać myśli. „Jestem z tobą – mówił O'Brien. – Wiem dokładnie, co czujesz. Wiem wszystko o twojej nienawiści, pogardzie i obrzydzeniu. I nie martw się, bo jestem po twojej stronie!” – a potem zerwała się cienka nić porozumienia i twarz O'Briena była równie nieprzenikniona, co wszystkie inne twarze.

To wszystko, tak wiele i tak niewiele. Winston nie był pewien, czy to się w ogóle stało. Takie zdarzenia nigdy nie miały dalszego ciągu. Podtrzymywały jego wiarę lub

to celowo. Przechodząc przez drzwi toalety, włożył to do kieszeni i dotknął opuszkami palców. Był to złożony na cztery skrawek papieru.

Kiedy stał przy pisuarze, udało mu się, manipulując palcami w kieszeni, rozwinąć karteczkę. Oczywiście to musi być jakaś wiadomość. Przez chwilę kusiło go, by przejść do jednej z toalet i przeczytać ją od razu. To byłoby jednak istne szaleństwo. Tu właśnie teleekrany prowadziły nieustanny podgląd.

Wrócił na stanowisko pracy, usiadł, niedbałym gestem rzucił karteczkę między inne skrawki papieru na biurku, założył okulary i przyciągnął do siebie grafioleks. „Pięć minut” – powiedział sobie – „odczekam co najmniej pięć minut!”. Serce waliło mu jak młotem. Na szczęście zadanie, które mu dzisiaj powierzono, było rutynowe – to niewymagająca szczególnej uwagi korekta długiego zestawu liczb.

Z pewnością wiadomość zapisana na karteczce ma znaczenie polityczne. Na ile się orientował, były dwie możliwości. Pierwsza, o wiele bardziej prawdopodobna, to taka, że dziewczyna jest agentką Milicji Myśli, czego się od początku obawiał. Nie wiedział, dlaczego Milicja Myśli miałyby w ten sposób przekazywać wiadomości, ale być może były ku temu powody. To, co tam jest napisane, może być groźbą, wezwaniem do stawienia się, rozkazem popełnienia samobójstwa albo jakąś pułapką. Ale istniała jeszcze inna, bardziej szalona możliwość, dopominająca się o rozważenie, choć bezskutecznie próbował ją od siebie odsunąć. Źródłem wiadomości mianowicie mogła wcale nie być Milicja Myśli, ale jakaś podziemna organizacja. Kto wie, może jednak Bractwo istnieje?! Może dziewczyna do niego należy?! Pomysł bez wątpienia był absurdalny, ale przyszedł mu do głowy dokładnie w chwili, gdy poczuł w dłoni skrawek papieru. Dopiero kilka minut później przyszło mu do głowy inne, bardziej prawdopodobne wyjaśnienie. I nawet teraz, chociaż racjonalny umysł mówił mu, że wiadomość najpewniej oznacza śmierć, absurdalna nadzieja nie gasła i wciąż w to nie wierzył. Serce Winstona biło tak mocno, że z trudem powstrzymywał drżenie głosu, wczytując pod nosem ciąg liczb do grafioleksu.

Zwinął dokumenty, nad którymi pracował, w rulonik i wsunął do rurki pneumatycznej. Minęło osiem minut. Poprawił okulary na nosie, westchnął i przysunął do siebie kolejny plik papierów – ten z leżącą na wierzchu karteczką. Rozprostował ją i odczytał skreślone dużymi, kulfoniastymi literami słowa:

Kocham cię

Przez kilka sekund był zbyt oszołomiony i zdezorientowany, by wsunąć obciążający skrawek papieru do dziupli pamięci. Zanim to zrobił, chociaż zdawał sobie bardzo dobrze sprawę z ryzyka okazywania zbyt dużego zainteresowania dokumentami, nad którymi się aktualnie pracuje, nie mógł się powstrzymać przed ponownym rzutem oka na kartkę, żeby się upewnić, że te słowa są tam naprawdę.

Do południa nie potrafił się skupić na pracy. Trudniejsza niż potrzeba skierowania uwagi na szereg męczących zadań była konieczność ukrycia rozgorączkowania przed teleekranem. Brzuch miał rozpalony do czerwoności. Obiad w dusznej, zatłoczonej,



gwarnej stołówce był udręką. Miał nadzieję, że chociaż przez chwilę będzie tam sam, ale pech chciał, że dosiadł się do niego ten imbecyl Parsons, którego pot niemal zadusił metaliczny zapach gulaszu. Parsons opadł ciężko na krzesło obok Winstona i trajkotał o przygotowaniach do Tygodnia Nienawiści, ze szczególnym entuzjazmem omawiając dwumetrowy model głowy Wielkiego Brata, stworzony z tej okazji z *papier mâché* przez drużynę Gumowego Ucha jego córki. Irytujące było to, że w gwarze głosów Winstona ledwo co słyszał, co mówił Parsons, i ciągle musiał go prosić o powtórzenie jakiejś głupiej uwagi. Tylko raz zauważył tamtą dziewczynę przy stoliku z dwiema innymi kobietami na drugim końcu sali. Wyglądało na to, że go nie zauważyła, a on nie patrzył w tamtym kierunku.

Popołudnie było już bardziej znośne. Zaraz po obiedzie zlecono mu delikatną, trudną robotę wymagającą kilku godzin pracy i odłożenia na bok wszystkiego innego. Praca polegała na sfałszowaniu serii sprawozdań, dotyczących produkcji przemysłowej sprzed dwóch lat w taki sposób, by zdyskredytować wybitnego członka Egzekutywy Partii, który był aktualnie w niełasce. Na tym Winstona się znał i przez ponad dwie godziny udało mu się ani razu nie pomyśleć o dziewczynie. Potem wróciło wspomnienie jej twarzy, a wraz z nią rozpaczliwe, nieprzeparte pragnienie pobycia w samotności. Dopóki nie będzie sam, nie da rady w spokoju się zastanowić, co naprawdę się stało. Dziś wieczorem powinien pojawić się w osiedlowym domu kultury. Pośpiesznie przełknął kolejny nieapetyczny posiłek, pomknął do domu kultury, wziął udział w kabotyńskim²⁴ spotkaniu grupy dyskusyjnej, zagrał dwie partie tenisa stołowego, wychylił kilka kieliszków ginu i wysłuchał półgodzinnego wykładu zatytułowanego „Socang a szachy”. Umierał z nudów, ale tym razem nie miał powodu bumelować²⁵ i wysiedział do końca. Na widok słów „Kocham cię” narodziło się w nim na nowo pragnienie pozostania przy życiu i podejmowanie niepotrzebnego ryzyka nagle wydało mu się głupie. Dopiero o jedenastej wieczorem, kiedy był już w domu i położył się spać – w ciemności, gdzie dopóki człowiek milczy, jest bezpieczny nawet przed teleekranem – był w stanie myśleć bez przeszkód.

Problem, który należało rozwiązać, był bardzo konkretny – jak skontaktować się z dziewczyną i umówić się z nią na spotkanie. Nie zastanawiał się już nad tym, że zastawia na niego jakąś pułapkę. Upewnił go jej wyraźny niepokój, gdy podawała mu liścik. Nie ma się co dziwić, że drżała ze strachu. Nie przeszło mu nawet przez myśl pozostać głuchym na jej zaproszenie do flirtu. Jeszcze pięć nocy temu rozważał, czy nie zmiażdżyć jej czaszki kamieniem, ale to teraz nie miało znaczenia. Przywołał w wyobraźni jej nagie, młode ciało, które widział we śnie. Niedawno sądził, że jest głupia jak cała reszta, ma głowę zatrutą kłamstwami i nienawiścią, że jest zimna jak lód, a teraz opanowała go gorączkowa myśl, że może ją stracić, a jej białe, młodzieńcze ciało może mu się wymknąć z rąk! Najbardziej bał się tego, że dziewczyna po prostu zmieni zdanie, jeśli szybko się z nią nie skontaktuje. Doprowadzenie do spotkania to twardy

²⁴ *Kabotyński* – obliczony na wywołanie efektu, efekciarski, sztuczny.

²⁵ *Bumelować* – objąć się, leniuchować, nie wykonywać danego zadania.

orzach do zgryzienia, trudność, którą można porównać do próby wykonania ruchu na szachownicy, kiedy przeciwnik dał już mata. Niezależnie od tego, w którą stronę się obrócisz, teleekran będzie zawsze skierowany w twoją stronę. Zasadniczo wszystkie możliwe sposoby porozumienia się z nią przysły mu do głowy w ciągu pierwszych pięciu minut od przeczytania notatki; ale teraz, mając czas na przemyślenia, przyglądał się im po kolei i ustawiał jak narzędzia chirurgiczne przed operacją.

Oczywiście spotkanie podobne do tego, do którego doszło dziś rano, było nie do powtórzenia. Rzecz byłaby stosunkowo prosta, gdyby dziewczyna pracowała w Wydziale Archiwów, ale miał bardzo mętne pojęcie, gdzie znajduje się budynek Wydziału Fikcji Literackiej, poza tym nie było powodu, żeby tam pójść. Gdyby wiedział, gdzie ona mieszka i o której godzinie wychodzi z pracy, mógłby wykombinować, jak się z nią spotkać w drodze do domu, ale próba pójścia za nią była niebezpieczna, bo musiałby się jakiś czas kręcić pod Ministerstwem, a to nie umknęłoby uwadze służb. Wysłanie listu pocztą nie wchodziło w grę. Zgodnie z procedurą, która nawet nie była utajniona, wszystkie listy po drodze otwierano. Obecnie mało kto pisał listy. Jeśli ktoś chciał wysłać wiadomość, kupował kartkę pocztową, na której w drukarni umieszczano długą listę odpowiednich sformułowań, i wykreślał te, które były niepotrzebne. W każdym razie Winston nie znał nazwiska dziewczyny, nie mówiąc już o jej adresie. Ostatecznie zdecydował, że najbezpieczniejsza jest stołówka. Gdyby mógł przysiąc się do niej gdzieś pośrodku sali, gdy będzie sama przy stole, ale nie za blisko teleekranów, a dookoła nich będzie wystarczająco gwarно i gdyby takie warunki utrzymały się, powiedzmy, przez jakieś trzydzieści sekund, dałoby się zamienić kilka słów.

Cały następny tydzień życie Winstona przypominało niespokojny sen. Nazajutrz nie pojawiła się w stołówce aż do końca obiadu, Winston czekał do momentu, gdy odezwała się syrena. Przypuszczalnie przesunięto ją na późniejszą zmianę. Minęli się, nawet na siebie nie patrząc. Dzień później była w stołówce o zwykłej porze, ale siedziała z trzema innymi dziewczynami i to tuż pod teleekranem. Potem przez trzy kolejne, straszne dni w ogóle się nie pojawiała. Miał wrażenie, że jest przezroczysty, a jego umysł i ciało zostały nagle dotknięte nieznośną chorobą nadwrażliwości, która zamieniała w agonię bólu każdy ruch, każdy dźwięk, każdy kontakt, każde słowo, które musiał wypowiedzieć lub wysłuchać. Nawet we śnie nie potrafił uciec od jej obrazu. Przez te wszystkie dni nawet nie dotknął dziennika. Wyciszenie znajdował tylko w pracy, czasem na dziesięć minut udawało mu się o wszystkim zapomnieć. Nie miał pojęcia, co się z nią stało, a zapytać nie mógł. Mogli ją skasować, mogła popełnić samobójstwo, mogła zostać oddelegowana na drugi koniec Oceanii, a najgorsze i najbardziej prawdopodobne było to, że po prostu się rozmyśliła.

Pojawiła się następnego dnia. Ramię już nie było na temblaku, na nadgarstku miała plaster. Poczul tak ogromną ulgę, gdy ją zobaczył, że przez kilka sekund gapił się na nią jak uczeń. Następnego dnia już prawie udało mu się z nią porozmawiać. Kiedy wszedł do stołówki, zobaczył, że siedzi przy stole daleko od ściany i jest całkiem sama. Było jeszcze wcześniej i stołówka nie była pełna. Kolejka przesunęła się do przodu i Winston znalazł się prawie przy kasie, po czym zablokowała się ona na dwie minuty,

– Może nie do końca. Ale sądząc po twoim wyglądzie... jesteś młoda, śliczna i zdrowa, no wiesz... uważałem, że prawdopodobnie...

– Myślałeś, że jestem porządną służką Partii. Czystą w słowach i czynach. Transparenty, pochody, hasła, sport, wspólne wędrówki. I myślałeś, że gdybym miała choć cień podejrzeń, zadenujowałabym cię jako przestępcę myśli i by cię skasowano?

– Tak, coś w tym guście. Sporo jest takich dziewcząt.

– To przez to cholerstwo – powiedziała, zrywając szkarłatną szarfę Młodzieżowej Ligi Antyseksualnej i rzucając ją gniewnym gestem na konar drzewa. Potem, jakby dzięki dotknięciu talii coś jej przypomniało, sięgnęła do kieszeni kombinezonu i wyjęła małą tabliczkę czekolady. Przełamała ją na pół i podała kostkę Winstonowi. Nawet zanim ją wziął do ręki, poznał po zapachu, że nie jest to zwykła czekolada. Była ciemna, miała lśniąca powierzchnię i była owinięta srebrną folią. Czekolada zwykle bywa matowa i brązowa, kruszy się i ma aromat dymu palących się śmieci. Kiedyś jednak miał okazję skosztować czekolady takiej, jak ta, którą go częstowała. Pierwszy powiew zapachu tej prawdziwej wzbudził wspomnienie, którego nie był w stanie zlokalizować, ale było silne i niepokojące.

– Skąd bierzesz takie rzeczy? – zapytał.

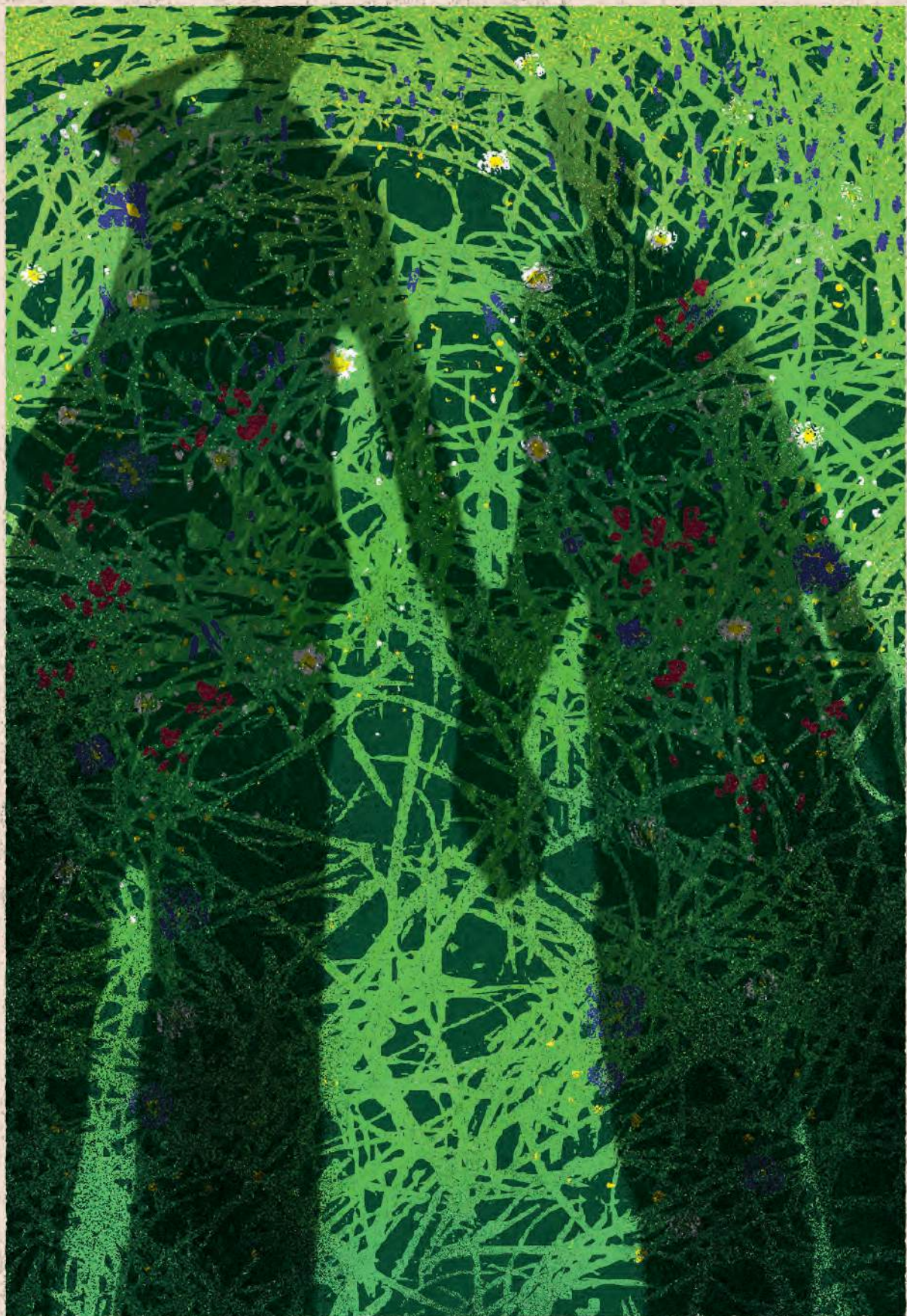
– Czarny rynek – odparła obojętnym tonem. – Prawdę mówiąc, na pierwszy rzut oka jestem właśnie taką dziewczyną. Jestem dobra w sporcie. Dowodziłam drużyną w Gumowym Uchu. Przez trzy wieczory w tygodniu pracuję jako wolontariuszka Młodzieżowej Ligi Antyseksualnej. Godzinami rozklejam ich chorą propagandę po całym Londynie. Podczas manifestacji zawsze niosę jakiś transparent. Wyglądam radośnie, wesoło i nigdy się od niczego nie migam. Zawsze skanduję z tłumem, inaczej przegrales. To jedyna gwarancja bezpieczeństwa.

Pierwszy kawałek czekolady rozplątał się Winstonowi w ustach. Smak był zachwycający. Niejasne wspomnienia błąkały się na krawędzi jego świadomości – coś, co mocno odczuwał, ale nie dawało się sprowadzić do określonego kształtu, jak przedmiot widziany zaledwie kątem oka. Odsunął to od siebie, wiedząc tylko, że to wspomnienie posunięcia, które chciałby cofnąć, ale nie był w stanie tego uczynić.

– Jesteś bardzo młoda – stwierdził. – Dziesięć albo i piętnaście lat młodsza ode mnie. Co we mnie widzisz?

– Zobaczyłam coś w twojej twarzy. Postanowiłam zaryzykować. Mam talent do rozpoznawania ludzi, którzy nie należą do systemu. Jak tylko cię zobaczyłam, wiedziałam, że jesteś przeciwko ni i m.

Oni chyba oznaczało Partię, przede wszystkim Egzekutywę Partii, na temat której Julia wyrażała się z otwartą nienawiścią i tak szyderczo, że Winston czuł się nieswojo, chociaż wiedział, że akurat tutaj są bezpieczni, jeśli w ogóle gdziekolwiek mogli być bezpieczni. Był zaskoczony tym, że okropnie przeklinała. Członkowie Partii mieli nie przeklinać, a sam Winston bardzo rzadko głośno kłął. Julia nie potrafiła mówić o Partii, a zwłaszcza o Egzekutywie, nie używając ordynarnych słów, które widywało się powypisywane kredą w zaplutyh alejkach. Nie bardzo mu to przeszkadzało. Był to tylko jeden z przejawów jej buntu przeciwko Partii i wszystkiemu, co



reprezentowała. Wydawało mu się to naturalne i zdrowe, jak prychnięcie konia, który czuje zapach skisłego siana. Zostawili polanę za sobą i znów wędrowali, brodząc przez plamy cienia i słońca, objęci w pasie, ilekroć pozwalała na to szerokość leśnej dróżki. Winston zauważył delikatność i miękkość jej talii, kiedy Julia zdjęła szarfę. Rozmawiali szeptem. Po zejściu z polany, zdaniem Julii, lepiej iść cichutko. Wkrótce dotarli do skraju zagajnika. Zatrzymała go zdecydowanym gestem.

– Nie wychodź z lasu. Ktoś może patrzeć. Lepiej trzymać się za linię drzew.

Stali w cieniu krzewów leszczyny. Przesączone przez liście drzew słońce ogrzewało ich twarze. Winston wyrzwał na pole i uświadomił sobie ze zdziwieniem, że rozpoznaje to miejsce. Już je kiedyś widział. To było stare, upstrzone kretowiskami pastwisko, na którym trawę tu i ówdzie powygryzały króliki, a między kopczykami kretów biegła ledwie widoczna ścieżynka. W nierównym żywopłocie po drugiej stronie pola gałązki wiązów kołysały się słabo na wietrze, a ich liście mieszały się i spletały w gęstą masę, jak włosy kobiety. Z pewnością gdzieś w pobliżu, ale poza zasięgiem wzroku, płynie strumień i rozlewa się pod kępą wierzb, a w nim płyną jelce.

– Nie ma gdzieś w pobliżu strumienia? – spytał szeptem.

– Zgadza się, jest strumień, na skraju pola trochę dalej. I ryby, naprawdę duże. Widać w rozlewiskach pod wierzbami, jak machają ogonami.

– To Złoty Kraj, no prawie – mruknął.

– Złoty Kraj?

– Nieważne. Taki krajobraz, który czasami widywałem we śnie.

– Popatrz! – szepnęła Julia.

Drozd usiadł na gałęzi niecałe pięć metrów dalej, prawie na wysokości ich twarzy. Może ich nie widział. Ptak był w słońcu, oni stali w cieniu. Rozpostarł skrzydła, starannie je złożył, pochylił głowę, jakby składając pokłon słońcu, a potem zaśpiewał potoczyscie. W ciszy majowego popołudnia jego głos zabrzmiał potężnie. Winston i Julia przytulili się do siebie zasłuchani. Pieśń płynęła bez ustanku, minuta za minutą, pełna zadziwiających wariacji, ptak ani razu nie powtórzył tej samej frazy, jakby chwalił się swoją wirtuozerią. Czasami milkł na kilka sekund, rozpościerał i ponownie składał skrzydła, a następnie wypinał nakrapianą pierś i na nowo zaczynał trele. Winston oglądał to widowisko w niemym zachwycie. Dla kogo, dla czego, ten ptak śpiewał? Żaden rywal go nie obserwował ani żadna samiczka. Co mu kazało przycupnąć na skraju samotnego lasu i wypełniać pustkę pieśnią? Winston zastanawiał się, czy gdzieś w pobliżu jest ukryty mikrofon. On i Julia rozmawiali cicho, tylko szeptem, którego mikrofon by nie wychwycił, a śpiew drozda tak. Być może na drugim końcu instalacji słuchał tego uważnie jakiś mały, podobny do chrząszcza człowieczek. Stopniowo jednak fala muzyki wyparła wszystkie spekulacje. Melodia była jak płynny materiał, który go oblewał i mieszał się z przesączone przez liście światłem słonecznym. Przestał myśleć i po prostu czuł. Kibić dziewczyny w zgięciu jego ramienia była miękka i ciepła. Przyciągnął ją bliżej, by poczuć na sobie jej piersi; miał wrażenie, że ciało Julii wtapia się w jego ciało. Czuł, że wszystko, czego dotyka, poddaje się pod jego dłońmi jak woda. Ich usta znalazły się nawzajem, ale ten pocałunek był zupełnie

inny od pospiesznych pocałunków, które wymienili wcześniej. Kiedy znów się od siebie odsunęli, oboje głęboko westchnęli. Spłoszony ptak zerwał się z łopotem skrzydeł.

Winston zbliżył usta do jej ucha.

– Teraz – szepnął.

– Nie tutaj – odparła również szeptem. – Chodźmy na polanę. Tam jest bezpiecznie.

Pospiesznie, nie zważając na trzask pękających pod stopami gałązek, wrócili na dawne miejsce. Kiedy znów znaleźli się otoczeni pierścieniem młodych drzew, odwróciła się i stanęła na wprost niego. Oboje oddychali szybko, ale w kącikach ust Julii błąkał się uśmiezek. Przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy, a potem sięgnęła palcami do zamka błyskawicznego kombinezonu. Tak! To było prawie jak we śnie Winstona. Niemal tak szybko, jak to sobie wcześniej wyobrażał, zdarła z siebie ubranie, a odrzucając je na bok, wykonała ten sam, absolutnie niezgodny z linią Partii, wspańiały, buntowniczy gest. Jej ciało lśniło w słońcu białą marmuru. Przez chwilę jednak Winston nie patrzył na jej ciało; utkwiał wzrok w piegowatej twarzy. Jego wzrok przykuł zadziorny uśmiezek Julii. Uklęknął przed dziewczyną i ujął jej dłonie.

– Robiłaś to już kiedyś?

– Oczywiście. Setki razy. No, może dziesiątki razy.

– Z partyjnymi?

– Tak, zawsze z partyjnymi.

– Z Egzekutywy?

– Nie, z tymi wieprzami nigdy. Ale jest wielu, którzy by chcieli, gdyby mieli chociaż cień szansy. Wcale nie są tacy święci.

Serce zabiło mu mocniej. Robiła to wiele razy. Szkoda, że nie było tych facetów setki, a nawet tysiące. Wszystko, co było oznaką zepsucia, napawało Winstona nieopaną, wręcz dziką nadzieją. Kto wie, może Partia jest przegniła pod powierzchnią, a jej kult wytężonej pracy i samozaparcia to fikcja, pod którą kryje się łajdactwo i nieprawość? Gdyby mógł zarazić całą tę bandę trądem lub kiłą, uczyniłby to bez wahania! Zrobiłby wszystko, żeby ich osłabić, podważyć ich filozofię i odkryć tę całą zgniliznę! Przyciągnął Julię do siebie, tak że klęczeli twarzą w twarz.

– Słuchaj. Im więcej miałaś facetów, tym bardziej będę cię kochać. Rozumiesz?

– Tak, doskonale rozumiem.

– Nienawidzę czystości, nienawidzę lukrowanej dobroci! Nie chcę, żeby gdziekolwiek istniała cnota. Chcę, żeby wszyscy byli zepsuci do szpiku kości.

– Dobrze trafiłeś, najmiłszy. Jestem bardzo zepsuta.

– Lubisz to? I nie chodzi o mnie. Pytam, czy lubisz to robić z facetami?

– Uwielbiam.

Nade wszystko właśnie to chciał usłyszeć. Nie tylko miłość do jednej osoby, ale zwierzęcy instynkt, proste pragnienie czyjegoś ciała – taka siła mogłaby rozerwać Partię na strzępy. Położył ją na trawę usianą zerwanymi dzwoneczkami. Tym razem nie miał żadnych trudności. Teraz falowanie i opadanie zamierało, uspokajał się przyspieszony rytm ich oddechów i powoli odrywali się od siebie owładnięci poczuciem

ANEKS

Zasady nowomowy

Nowomowa była oficjalnym językiem Oceanii i została stworzona, aby zaspokoić ideologiczne potrzeby Socangu, czyli angielskiego socjalizmu. W roku 1984 nie było jeszcze nikogo, kto używałby nowomowy jako jedyne go środka komunikacji w mowie czy w piśmie. Posługując się nowomową, pisano artykuły na pierwsze strony „The Times”, ale na taki wyczyn było stać wyłącznie specjalistę. Spodziewano się, że nowomowa ostatecznie zastąpi staromowę (lub standardowy angielski, bo tak powinniśmy powiedzieć) do około roku 2050. Tymczasem mocno zyskała na popularności, wszyscy członkowie Partii częściej sięgali po słowa i konstrukcje gramatyczne nowomowy i coraz więcej było ich w codziennych wystąpieniach. Wersja używana w 1984 roku, zawarta w dziewiątym i dziesiątym wydaniu *Słownika Nowomowy*, była wersją tymczasową i zawierała wiele zbędnych słów i archaicznych sformułowań, które miały zostać później usunięte. Chodzi nam o wersję ostateczną, udoskonaloną, zawartą w jedenastym wydaniu *Słownika*...

Celem nowomowy było nie tylko dostarczenie środków wyrazu dla światopoglądu i zdefiniowanie nawyków myślowych zwolenników Socangu, ale również wykozerwienie wszelkich innych sposobów myślenia. Chodziło o to, że kiedy nowomowa zostanie raz na zawsze przyjęta, a staromowa zapomniana, każda myśl dysydencka⁴⁷ – to znaczy myśl odbiegająca od zasady Socangu – powinna być literalnie nie do pomyslenia, przynajmniej na tyle, na ile formułowanie myśli zależy od doboru słów. Słownictwo było tak dobierane, by umożliwić dokładne i często bardzo subtelne wyrażenie każdego odcienia znaczeniowego, po które członek Partii chciał sięgnąć, wykluczając jednocześnie nie tylko wszelkie inne znaczenia, ale również możliwość dotarcia do nich metodami pośrednimi. Dokonano tego, po części tworząc nowe słowa, ale głównie eliminując słowa oddające treści nieprawomyślne i wykorzystując znaczenia niepożądane ze słów pozostawionych w języku oraz, na ile to możliwe, wplenając wszystkie znaczenia drugorzędne. Podam przykład. Słowo „wolny” wciąż funkcjonowało w nowomowie, ale można go było używać tylko w takich stwierdzeniach, jak „Ten pies jest wolny od wszy” lub „To pole jest wolne od chwastów”. Nie można go było używać w dawnym znaczeniu „wolny politycznie” lub „wolny intelektualnie”, ponieważ pojęcia wolności politycznej i intelektualnej nie istniały, a zatem słowa, które je wyrażały, były niepotrzebne. Zupełnie niezależnie od rugowania nieprawomyślnych słów redukcję słownictwa uważano za cel sam w sobie i nie przetrwało ani jedno słowo, bez którego można by się obejść. Nowomowa została zaprojektowana nie po to, by poszerzyć zakres myśli, ale aby ich zakres zawęzić, a ograniczenie doboru słów do minimum było pośrednio podporządkowane temu celowi.

⁴⁷ *Dysydencki* – przeciwstawiający się panującym zasadom, władzy.

Nowomowę zbudowano na fundamencie języka angielskiego, jaki dziś znamy, chociaż wiele zdań nowomowy, nawet jeśli nie zawierałyby nowo utworzonych słów, ktoś posługujący się współczesną angielszczyzną ledwo by zrozumiał. Słowa nowomowy zostały podzielone na trzy odrębne klasy, znane jako leksykon A, leksykon B (zwany także leksykonem złożonym) i leksykon C. Łatwiej będzie omówić każdą klasę osobno, ale osobliwości gramatyczne tego języka proponujemy omówić w części poświęconej słownictwu A, ponieważ te same zasady obowiązywały we wszystkich trzech kategoriach.

Leksykon A

Na leksykon A składały się słowa potrzebne w codziennym życiu, takie jak jedzenie, picie, praca, zakładanie ubrań, wchodzenie i schodzenie po schodach, prowadzenie pojazdów, prace ogrodnicze, gotowanie i tym podobne. Leksykon A zawierał prawie wyłącznie słowa już występujące w naszym języku, takie jak *uderzenie*, *bieg*, *pies*, *drzewo*, *cukier*, *dom*, *pole*, lecz w porównaniu z dzisiejszym słownictwem ich zasób był bardzo skromny, a ich cechy znaczeniowe sztywno zdefiniowane. Usunięto z nich wszelkie niejasności i odcienie znaczeniowe. O ile było to możliwe, słowo z tej klasy było po prostu dźwiękiem staccato, wyrażającym jedną, jasno określoną koncepcję. Wykorzystanie zasobu słów z leksykonu A do celów literackich lub do dyskusji politycznej albo filozoficznej byłoby zupełnie niemożliwe. Miały one na celu jedynie wyrażanie prostych, czytelnych myśli, zwykle dotyczących konkretnych przedmiotów lub prostych czynności.

Gramatyka nowomowy miała dwie wyjątkowe cechy. Pierwszą była prawie całkowita wymiennosc między różnymi częściami mowy. Każde słowo nowomowy (co w zasadzie odnosiło się nawet do bardzo abstrakcyjnych słów, takich jak *jeżeli* lub *kiedy*) mogło być użyte jako osnowa czasownika, rzeczownika, przymiotnika lub przysłówka. Między formami czasownika i rzeczownika, jeśli miały ten sam rdzeń, nie było żadnej różnicy, ta zasada pociągała za sobą dekonstrukcję wielu form archaicznych. Na przykład słowo *przemyslenie* w nowomowie nie istniało. Jego miejsce zajęło słowo *myśl*, spełniające zarówno funkcję rzeczownika, jak i czasownika. Nie przestrzegano żadnych zasad etymologicznych; w niektórych przypadkach decydowano się na pozostawienie oryginalnego rzeczownika, w innych czasownika. Nawet tam, gdzie rzeczownik i czasownik o pokrewnym znaczeniu nie były etymologicznie spójne, jedną lub drugą część mowy często pomijano. Na przykład nie było takiego słowa, jak *ciąg*, którego znaczenie jest dostatecznie wyraźnie oddane przez rzeczownik-czasownik *nóż*. Przymiotniki utworzono przez dodanie przedrostka *ful-* do rzeczownik-czasownika, a przysłówki przez dodanie przedrostka *zaje-*. Na przykład *fulgaz* oznaczało „szybki”, a *zajegaz* oznaczało „szybko”. Niektóre z obecnie funkcjonujących przymiotników, takich jak *dobry*, *mocny*, *duży*, *czarny*, *miękki* zachowano, ale ich łączna liczba

Słownik nowomowy*

Dla lepszego zrozumienia powieści przygotowaliśmy słownik nowomowy, w którym podajemy słowa oryginalne – wymyślone przez Orwella, jak również inne ich tłumaczenia.

Białoczerń (ang. *blackwhite*, też: *czarnobiał*) – wyraz z nowomowy o dwóch znaczeniach: w odniesieniu do przeciwnika oznacza kogoś, kto kłamie, twierdząc, że białe jest czarne. W stosunku do członka Partii oznacza kogoś pełnego oddania, który gdy zajdzie potrzeba, może uwierzyć w to, że białe jest czarne.

Błogołag (ang. *joycamp*, też: *milbóz*) – karny obóz pracy. Do obozu obywatele byli zsyłani za pomniejsze przestępstwa.

Bractwo (ang. *Brotherhood*, też: *Braterstwo*) – organizacja, która miała zajmować się konspiracją przeciwko władzy. Jego członkowie nie znali siebie nawzajem ani sobie nie pomagali. Działali, mając świadomość, że za swojego życia nie będą widzieć efektów. „Biblią” spiskowców było dzieło autorstwa samego Goldsteina, zwane po prostu Książką. Ideę Bractwa Partia wykorzystywała, by prowokować nieprawomyślnych obywateli do ujawnienia się.

Dobroseks (ang. *goodsex*) – wstrzemięźliwość seksualna. Zbliżenia były dozwolone jedynie w celu poczęcia potomka, czyli ofiarowania Partii nowego prawomyślnego obywatela. Wszelkie inne czynności seksualne, łącznie z czerpaniem przyjemności ze zbliżenia, były seksozbrodnią.

Dwie Minuty Nienawiści (ang. *Two Minutes Hate*) – spotkania urzędników w Ministerstwie Prawdy, podczas których z teleekranów dobiegały komunikaty dotyczące aktualnego przeciwnika Oceanii oraz informacje na temat wroga ludu – Goldsteina. Wszyscy zgromadzeni w czasie Dwóch Minut Nienawiści gorączkowo demonstrowali najpierw niechęć do wrogów ustroju, a później miłość do Wielkiego Brata.

Dwójmyślenie (ang. *doublethink*) – inaczej „sterowanie rzeczywistością” – polega na tym, że można jednocześnie coś wiedzieć i tego nie wiedzieć, być przekonanym o własnej prawdomówności i mieć świadomość, że powtarza się kłamstwa. Umożliwia

* Słownik nowomowy został opracowany przez redakcję. Nie wchodzi w skład powieści Georgea Orwella.

zapominanie faktów i przypominanie ich sobie, kiedy jest to komuś na rękę. Dwójmyślenie jest wymysłem Partii i umożliwia prawidłowe funkcjonowanie w ustroju.

Dział Badań (ang. *Research Department*, też: *Departament Badań*) – jeden z pionów w Ministerstwie Prawdy, opracowywano tam między innymi *Słownik Nowomowy*.

Dziewiąty Plan Trzyletni (ang. *Nine Three-Year Plan*) – założenia dotyczące produkcji i poziomu życia obywateli, które były ogłaszane przez Partię. Prawdziwość w zasadzie wszystkich informacji podawanych przez Partię trudno zweryfikować, również tych dotyczących produkcji czy przydziałów produktów. Jeśli jakieś wiadomości były Partii nie na rękę, wymazywano je z prasy i świadomości.

Dziupła pamięci (ang. *memory hole*, też: *luka pamięci*) – podłużna szczelina, która służy do usuwania zbędnych dokumentów. W Ministerstwie Prawdy było ich bardzo wiele. Wszystkie papiery były porywane przez prąd ciepłego powietrza i spalane w piecach.

Egzekutywa Partii (ang. *Inner Party*, też: *Wewnętrzna Partia*) – część struktury politycznej w Oceanii, elita Partii, ludzie najwyżej postawieni i najbardziej wpływowi. Stanowili zaledwie 2% ludności. Członkowie Egzekutywy mieli dostęp do jedzenia lepszej jakości, porządnych ubrań, prawdziwej kawy i papierosów. Warunki mieszkalne członków Egzekutywy były niemal luksusowe, byli też upoważnieni do posiadania służących.

Eurazja (ang. *Eurasia*) – jedno z trzech supermocarstw. Obejmowało swoim terytorium północną część lądu europejskiego i azjatyckiego, od Portugalii po Cieśninę Beringa. Panujący tam ustrój to Neobolszewizm. Na zmianę z Orientacją podawana była jako przeciwnik Oceanii.

Gin Zwycięstwa (ang. *Victory Gin*) – napój alkoholowy o mdlącym, oleistym zapachu wódki ryżowej. Był tani i przez większość ludzi pity jak lekarstwo.

Grafioleks (ang. *speakwrite*, też: *nowopis*) – urządzenie służące do dyktowania – przetwarzało mowę na tekst pisany. Posługiwali się nim m.in. urzędnicy w Ministerstwie Prawdy.

Gumowe Ucho (ang. *the Spies*, też: *Kapusie*) – organizacja zajmująca się indoktrynacją dzieci ideałami Partii. Piosenki, pochody, używanie imitacji broni i wystawianie Wielkiego Brata traktowano jak zabawę. Celem tej organizacji było zerwanie więzi dzieci z rodzicami i ukierunkowanie ich miłości i lojalności jedynie w stronę Wielkiego Brata. Szkolono dzieci w szpiegowaniu i donosicielstwie, nawet na własnych rodziców i innych członków rodziny, sąsiadów.

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA 5

Rozdział 1.....	7
Rozdział 2.....	19
Rozdział 3.....	27
Rozdział 4.....	32
Rozdział 5.....	40
Rozdział 6.....	49
Rozdział 7.....	53
Rozdział 8.....	60

CZĘŚĆ DRUGA 77

Rozdział 1.....	79
Rozdział 2.....	87
Rozdział 3.....	94
Rozdział 4.....	100
Rozdział 5.....	108
Rozdział 6.....	114
Rozdział 7.....	116
Rozdział 8.....	120
Rozdział 9.....	129
Rozdział 10.....	157

CZĘŚĆ TRZECIA 163

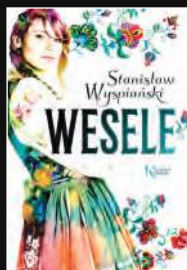
Rozdział 1.....	165
Rozdział 2.....	174
Rozdział 3.....	188
Rozdział 4.....	197
Rozdział 5.....	204
Rozdział 6.....	208

ANEKS 217

Zasady nowomowy.....	219
Słownik nowomowy.....	229

Pierwszą rzeczą, którą musisz sobie uświadomić, jest to, że władza jest zbiorowa. Jednostka ma władzę tylko wtedy, gdy przestaje być jednostką. Znasz hasło Partii: „Wolność to niewola”. Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że to się da odwrócić? Niewola to wolność. Człowiek wolny, lecz samotny, jest zawsze na straconej pozycji. Musi tak być, ponieważ nikt nie uniknie śmierci i ten wyrok to największa ze wszystkich porażek. Jeśli jednak potrafi dokonać całkowitego i bezwzględного aktu poddania się, jeśli uda mu się uciec od swojej tożsamości, jeśli może się utożsamić i całkowicie się oddać Partii po to, by się stać Partią, staje się wszechmocny i nieśmiertelny. Po drugie, musisz sobie uświadomić, że władza, o której mówimy, to władza nad ludźmi. Nad ciałami, ale przede wszystkim nad umysłami.

Skompletuj całą serię Kolorowa Klasyka:



i inne tytuły.

ISBN 978-83-7517-976-7



9 788375 179767 >

K Kolorowa
Klasyka

ul. Klasztorna 2B, 31-979 Kraków
www.greg.pl